

Jed. numer
II/453/EWPLYNEŁO
dnia 16.02.89
Nr dziennika 232

Nie mam listów, nie mam dokumentów - ~~wszystko zostało tam~~ - po tamtaj stronie Polski - tam, za Bugiem. Zostało tylko wspomnienie - wspomnienie smutne, pełne rozpaczy. Po 50-ciu latach łyż jak groch spływają mi po policzkach gdy opisuję historię mojego przeżycia i przeżycia moich najbliższych. Ojciec mój - ku pamięci Twojej i Twoich cierpień ten pamiętnik piszę bo już Cię chyba nie ma na tej ziemi.

Mieszkaliśmy wówczas w miasteczku koło Grodna. Miałam wtedy 10 lat. Rodzina nasza składała się z czterech osób tj. ojca, mamy siostry starszej odemnie o 1,5 roku i mnie. Żyliśmy spokojnie i szczęśliwie. Ojciec mój /wojskowy/ był dobrym kochającym ojcem i wspaniałym człowiekiem. Był poważany i lubiany przez wszystkich. Kochał ludzi. Za serce odpłacał sercem szczerym. Zdawało się, że nie miał wrogów. A jednak - nadszedł wrzesień 1939 roku. Już dnię jego poprzedzające były pełne niepokoju. W mieszkaniu naszym było wciąż pełno ludzi, którzy przychodzili słuchać radia, a na ich twarzach widać było niepokój, który uźmierał się i nam - dzieciom. Na parę dni przed wybuchem wojny, ojciec mój przeczując co go czeka gdy pozostanie na tych terenach - razem z kilkoma kolegami wyjechali na północ kierując się do Litwy, aby tamteży przedostać się na Zachód. Niestety było już zapóźno. Przejścia już nie było. Wrócili. Znaleźli się jednak w pułapce, bowiem w międzyczasie władzę w miasteczku objęli miejscowi komuniści /tak się kazali nazywać/. W celu rozpoznania ich nosili czerwone opaski na rękawie oraz karabiny /nie wiem skąd zdobyte/. Czując się osaczonymi ze wszystkich stron ojciec mój i inni jego koledzy zdecydowali się wyjechać wraz z rodzinami na Zachód. Ojciec obrał kierunek Łódź, gdzie miał swoją całą rodzinę, tam się bowiem urodził. Wynajęliśmy furmanki i zaczęliśmy się pakować. W tym czasie koło budynku gdzie przebywaliśmy zebrał się tłum ludzi z czerwonymi opaskami i karabinami. Ojciec mój wyszedł do nich dowiedzieć się czego od nas chcą. Zaczął do nich przemawiać - ^{gdy} Padł strzał. Ktoś z tłumu strzelił. Ojciec chwycił się za pierś - struga krwi zaczęła przeciekać mu przez palce - upadł. Szybko wciągnęliśmy go do bramy, którą szybko zaryglowano. Tłum narazie ustąpił. Ja widząc ojca leżącego we krwi zaczęłam krzyczeć... wody... wody, jakby to coś ojcu mogło pomóc. Nie było lekarza a jechać trzeba było bo nie było innego wyjścia. Tu groziła ~~nam~~ śmierć wszystkim. Łudziliśmy się, że uda się nam uciec. Ojciec nieprzytomny leżał we krwi.

Jedyny lekarz jaki był w miasteczku bał się opatrzyć ranę. Dopiero pod wpływem nalegań zgodził się ranę tylko obandażować. Pojechaliśmy - cztery furmani - cztery rodziny. Mieliśmy łącznika który wyruszył wcześniej konno. Miał za zadanie rozglądać się na trasie i zawiadomić nas o ewentualnie grożącym niebezpieczeństwie. Niestety nie zobaczyliśmy go więcej. Został zatrzymany przez naszych prześladowców. Zbliżaliśmy się do małego miasteczka położonego na trasie Grodno-Białystok. Tam rozlokował się cały sztab naszych wrogów i tam czekali na nas pozwalając nam przejechać tylko około 10 km. Trzech mężczyzn z naszej grupy - mężów rodzin które z nami jechały domyślając się, że w tym miasteczku zorganizowana jest na nich zasadzka, na ok. dwa kilometry od niego odłączyli się od nas mając nadzieję że okrążając osiedle poprzez las uda im się spotkać z nami poza terenem zagrożonym. "Na rodzinach im nie powinno zależeć więc wy pojedziecie spokojnie przez miasteczko a my przez las dojdziemy do bezpiecznego miejsca i tam się spotkamy" - mówili. Tak zrobili. Weszli w las z którego już żywi nie wyszli. Zostali bestialsko zamordowani. My pojechaliśmy dalej. Ojciec leżał nieprzytomny na wozie. Przykryliśmy go żeby nie był widoczny. Dojeżdżając do miasteczka zobaczyliśmy po jednej i drugiej stronie szosy dwa rzędy ludzi po kilku w jednym z czerwonymi opaskami, z karabinami wymierzonymi w nas, jadących szosą. Była głęboka przerażająca cisza słychać było tylko stuk kopyt koni o bruk szosy ciągnących nasze wozy. Przejechaliśmy przez szpaler tak "gościnnie" witających nas "gospodarzy" i wjechaliśmy do miasteczka, a za nami nasi prześladowcy. Zatrzymali nas na rynku. Kazali zejść z furmanek a sami zaczęli plądrować po wozach i grabić na co kto miał ochotę. Jeden z nich wlaź na naszą furmankę. Zobaczył ojca i dał znać innym. Zbiegli się - nieprzytomnego w sposób bestialski ściągnęli na bruk. Kopali, bili czym kto mógł. Jeden z nich chwycił walizkę z żelaznymi okuciami i cisnął z całej siły uderzając ojca w głowę. Z głębokiej rany zaczęła płynąć krew. Ja patrzeć na to już nie mogłam. Wyrwałam się мамie, podbiegłam do oprawców chcąc ich gryźć i drapać. Odciągnięto mnie z obawy, że mnie zabiją. Krzyczałam i płakałam wraz z siostrą. Ludzie patrzyli na to bezsilni. Nikt nie przyszedł nam z pomocą. Bali się. Tylko jedna mieszkanka tego miasteczka, wzruszona naszą niedolą zabrała nas do swojego domu i poczęstowała ciepłą herbatą. Do dzisiaj nie jestem pewną czy nie miała przez to przykrości. Mnie zaciągnięto siłą. Kochałam ojca gorącą dziecięcą miłością i nie chciałam go zostawić samego chociaż nic mu nie mogłam pomóc. Leżał już w tym czasie na wozie, do którego go wrzucono jak kłodę drzewa. Po przeprowadzeniu rewizji na furmankach zawieziono nas do jakiegoś

dużego domu. Tam odbyła się narada. Czekaliśmy parę godzin pełni niepokojem co z nami zrobią. Wiedzieliśmy już, że mężczyźni którzy odłączyli się od nas i poszli przez las zostali tam zamordowani. Dorosli wiedzieli że to samo mogą zrobić z nami. Ja z siostrą-jeszcze dzieci, nie zdawałyśmy sobie sprawy z grożącego nam niebezpieczeństwa ale bałyśmy się bardzo. Przeczucia zdawały się spełniać. Późnym popołudniem kazano wsiadać nam na furmanki. Z przerażeniem zobaczyliśmy że wiozą nas do lasu a nie spowrotem do domu. Jechaliśmy dość długo. Dzień był prześliczny, ciepły, słońce świeciło jakby chciało nam uprzyjemnić jak nam się zdawało ostatecznie chwile. Później dowiedzieliśmy się że tak postanowiono. Dojechaliśmy do jakiegoś zabudowania i dużej stodoły stojącej w lesie. Tam kazano nam zejść i czekać. I znów czekaliśmy aż się skończy następna narada. Nie mieliśmy już żadnej nadziei. Modliliśmy się nie mając już żadnej nadziei na uratowanie. Ku naszej jednak radości przyszedł za chwilę jeden z naszych prześladowców mówiący że mamy szczęście albowiem ktoś liczący się bardzo u nich wstawił się za nami i uratował nam życie. Odetchnęliśmy. Ale nie wolno nam było jechać dalej. Odwieźli nas spowrotem do miasteczka gdzie mieszkaliśmy. Byliśmy jednak więźniami. Nie wolno nam było nigdzie się oddalać. Dano nam jeden wspólny dom. Ojca nadal nieprzytomnego położono w jednym z przydzielonych dla nas pokoi. Cierpiał bardzo. Kula utkwiona w płucu bardzo dokuczała. Nie było możliwości dokonać operacji. Prześladowcy nachodzili dom codziennie i dokuczali mu, chcąc uzyskać od niego informacji dla nich potrzebnych. Ojciec mówił że nic na żaden temat nie wie więc dokuczali mu coraz natarczywiej. Pilnowali nas. Z naszego poprzedniego mieszkania oprócz rzeczy osobistych nie pozwolono nam nic zabrać, to co zabraliśmy w drogę z sobą ukradziono nam. Pozostało nam niewiele rzeczy, nie było co jeść.

A w międzyczasie jest pamiętny wrzesień 1939 roku - dzień śliczny, jasny, cichy, gdy nagle ciszę tę przerwał szum nadjeżdżających czołgów, samochodów ciężarowych a na nich wojsko uzbrojone "po zęby" wschodnich naszych sąsiadów. Jechali ulicami miasteczka długo, długo. Czerwoni witali ich z radością, wiwatowali, my z rozpaczą. Rozpoczęła się okupacja.

Ojciec mój czuł się coraz gorzej. Potrzebna była natychniastowa operacja. W miasteczku nie było szpitala. Na opuszczenie jego i zawiezienie do szpitala do Grodna nie zezwolono. Mama zdecydowała się na wywiezienie ojca potajemnie. Pod osłoną nocy na wynajętej furmanie zawiozła ojca do szpitala do Grodna położonego o 60 km od miasteczka w którym zamieszkiwaliśmy. Tam umieściła go pod innym nazwiskiem. Nasi prześladowcy gdy odkryli ucieczkę zaczęli prześladować nas i odgrażać się. Trzeba było uciekać również i nam. I znów pod osłoną nocy

wynajętą furmanką żydowską mama, siostra i ja uciekał¹śmy od prześladowania. Paniętam - była to noc straszna, ciemna, działająca przerażająco na naszą dziecienną wyobraźnię. Mijaliśmy ciemne szumiące lasy. Zdawało mi się, że za każdym drzewem, każdym krzakiem czai się niebezpieczeństwo. Ostatnie przeżycia potęgowały to. Furmanka ciągnięta przez jednego cherlawego konika wlokła się niemilosierdzie długo. W połowie drogi zepsuł się wóz. Żyd nie chciał nas dalej wieźć. Po długim poszukiwaniu nareszcie udało się wynająć drugą furmankę. Dopiero następnego dnia wieczorem dowlekliśmy się do Grodna. Przyjęli nas krewni i u nich tymczasowo zamieszkaliśmy. Ojciec leżał w szpitalu w ciężkim stanie. Po odbytej operacji z rany sączyła się ropa. Utrzymywał się cały czas stan zapalny. Ropę ściągano sączkami. Mama odwiedzała ojca codziennie. Pewnego razu jak zawsze poszła do szpitala. I tam z przerażeniem zobaczyła jednego z naszych prześladowców. Poznał mamę i coś zaczął szeptać do swojego towarzysza pokazując na mamę. Było pewne, że się domyślili, że ojciec przebywa w tymże szpitalu. Jeszcze b. chorego ojca wykradła mama ze szpitala. Umieściła go u krewnych u których i ja zamieszkałam. Rozdzieliliśmy się. Mama z siostrą zamieszkała u innych krewnych. Ja pilnowałam ojca. Był tam tylko jeden pokój z kuchnią. Było ciasno, niewygodnie i niebezpiecznie, gdyż za przechowywanie zbiegów wysyłano na Sybir. Minęło parę miesięcy. Ojciec nadal chorował. Rana się nie goiła. Ja codziennie pilnowałam drzwi za którymi leżał ojciec oddzielony szafą od reszty pokoju. Była to prowizoryczna zasłona. Mnie się zdawało, że czuwanie przy drzwiach osłoni ojca od niebezpieczeństwa. W swojej naiwnej dziecięcej wyobraźni myślałam jak to ja obronię ojca gdyby ktoś nieznajomy chciał wejść do pokoju. Pewnego dnia kiedy byłam sama do mieszkania weszło dwóch tajniaków. Wypytywali kto tu mieszka i interesowali się całą rodziną. Oczywiście nie wydałam ojca, ale oni dali do zrozumienia, że wiedzą że się ktoś tu ukrywa i obiecując że jeszcze tu przyjdą - wyszli. Wiedzieliśmy już, że ktoś doniósł, że grozi wszystkim niebezpieczeństwo. Rodzice nie chcieli narażać krewnych. Wiadomo nam było, że za to groziło wywiezieniem całej rodziny na Sybir. Trzeba było znów uciekać. Ojciec chociaż jeszcze chory i osłabiony, od ostatniego bicia z przytępionym słuchem, zdecydował się na ucieczkę do swoich rodzinnych stron - do Łodzi. Zdecydował się na przejście przez granicę. Błagałam mamę ażeby pozwoliła mi iść z nim, ażebym mogła się nim opiekować, ale mama nie pozwoliła na to, bała się o mnie. I oto zimą roku 1940 ojciec pożegnał nas. Wtedy to widziałam ojca poraz ostatni. Do dzisiaj nie wiemy co się z nim stało. Zginął bez wieści. Późniejsze poszukiwania na nic się nie zdały. Żadnych wiadomości do dnia dzisiejszego.

Po odjeździe ojca tułaliśmy się po obcych ludziach, dla bezpieczeństwa każde z nas mieszkało gdzie indziej. Ogarniała mnie tęsknota za rodzicami. Z siostrą spotykałam się tylko w szkole do której zaczęliśmy uczęszczać. Była to szkoła rosyjska. Ale i tam nas rozpoznano. Zmieniłyśmy szkołę. Mama dowiedziała się, że zorganizowano jedyną w Grodnie szkołę polską i tam nas zapisała. Wiedzieliśmy, że po rozpoznaniu nas i odkryciu gdzie mieszkamy czeka nas Sybir. W szkole często któregoś z uczniów zabrakło. Nauczyciele ze smutkiem mówili, że już ich nie zobaczymy gdyż minionej nocy zostali zabrani. Pamiętam jak jeden z nauczycieli był bardzo zasmucony, gdyż z powodu postawienia dwójki jednej z uczennic w przeddzień wywiezienia jej na Sybir. Płakaliśmy wszyscy. Najgorsze noce to były noce z czwartu na piątek i z piątku na sobotę. W te noce wszyscy czuwaliśmy i nadśluchiwaliliśmy czy nie usłyszymy warkotu samochodów ciężarowych podjeżdżających pod dom. Jeżeli nie, to parę następnych nocy można było spać spokojnie do następnych czwartków i piątków. Z tego obłędu wyzwoliła nas wojna niemiecko-rosyjska. Nastąpiła druga okupacja ale już niemiecka. Nowe przeżycia, nowy strach, przejścia frontu w jedną i drugą stronę. Ale to już inny rozdział pamiętnika.

Jedno tylko chciałam jeszcze dodać, że z Grodna na Ziemię Odzyskane przyjechałyśmy pod koniec roku 1946 z jedną walizką w ręku. Byłyśmy wygnańcami z własnego domu i Ojczyzny. Zostawiłyśmy cały dorobek rodziców po tamtej stronie.--

Wanda Tomaszewska

Wanda Tomaszewska
ul. Chopina 7-9 m. 8
78-600 Wałcz

Proszę o nie ujawnianie mojego nazwiska.